

GONIM

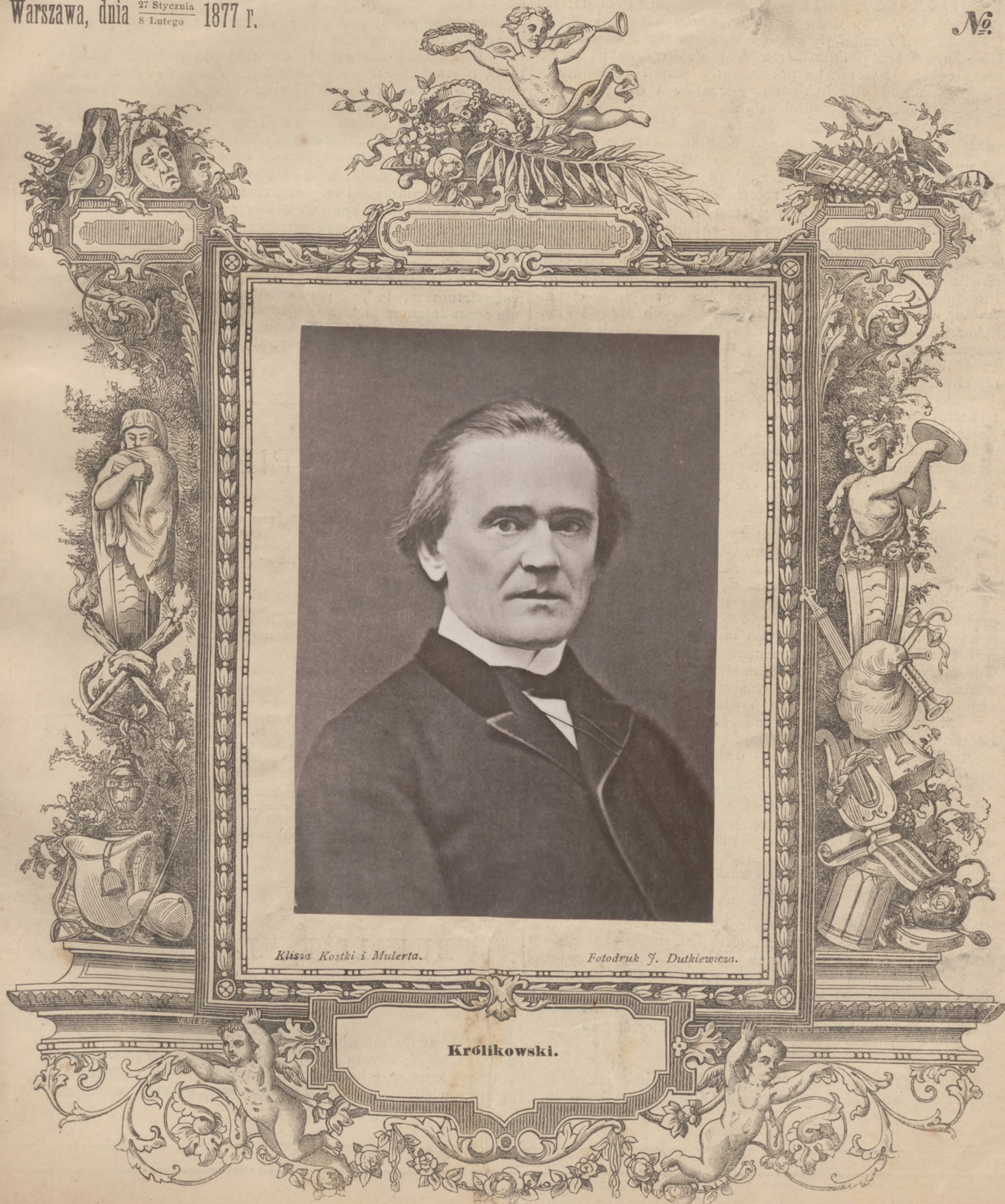
TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia ^{27 Stycznia}_{8 Lutego} 1877 r.

N^o 6.



KRÓLIKOWSKI.

Cóż to była za uroczysta chwila!

Jedna tylko, jedyna scena, a przecież sala teatralna zdawała się mieć inny pozór, niż dotychczas. Stała się prawdziwym przybytkiem sztuki, w którym Królikowski składał ofiarę tragicznej muzy.

Moor, zdręczony wyrzutami sumienia, w trwodze śmiertelnej zapytywał: „więc On jest?” Szamotał się w buntowniczej protestacji, przeklinał niebo, iż jego plany zawiodły go, a zbrodnica budowa ręki śmiertelnika runęła, jak domek z kart. Te dręszcze, wewnętrzne huragany, które go ciskały o ziemię, wstrząsały zarazem sercami widzów. Groza tragiczna podniosła się w grze mistrzowskiej do takich wyżyn, iż w chwilę potem, gdy szajka rozbójników wpadła na zamek z hukiem wystrzałów i okrzykami zemsty—wszystko to zbladło, osłabło.

Dawison, który grał Moora na krótko przedtém, grał go inaczej, ale nie silniej. Królikowski więcej liczył na uniesienie, na ową *duszę* gry artystycznej, dla której wystudowana forma w szczegółach najdrobniejszych jest tylko ciałem. Królikowski zresztą nie mógł się tu oprzeć na tradycji, a wzoru z Dawisona istotnie czerpać nie chciał. Poszedł swoją drogą i osiągnął swój własny tryumf.

Przedstawienie postaci Moora naprawdę stało się chwilą stanowczą w zawodzie artystycznym Królikowskiego. Przedtém ceniono go jako mistrza w ekspresji, w cieniowaniu, w wystudowaniu najdelikatniejszych przejść i modulacji; odtąd ujrano w nim bogaty zasób tych sił wewnętrznych, bez których zawód tragika jest niemożliwym. Przed artystą otworzył się świat cały czynu, który aż do tej chwili był dlań zamkniętym.

Po Moorze przyszedł Shylok. I oto nowa dziedzina, w której trzeba było iść omackiem, a wyjść zwycięzko. Postać to nie dzisiejsza, pełna skupionej charakterystyki, w zarysach śmiałych, szerokich. Komedia z dramatem stykająca się, a postawiona na gruncie społecznym, z którym w zgodzie być należało. Artysta nasz wniknął w jej istotę, odgadł jej tajemnicę i znowu osiągnął tryumf.

A oto Hamlet! Królikowski sięgnąć tu musiał do filozofii ducha ludzkiego, aby kontury postaci wyrzeźbić w prawdopodobne załamki. Siła kontrastów, złożona w niej, jest ogromnym szkopułem dla aktora. Co krok — przepaść. Idziesz omackiem i potykasz się... to nie tu! Wracasz i próbujesz dziesięciu innych ścieżek, aby nie natrafić na prawdziwą. Tyle już piór i głów łamało się nad Hamletową zagadką, tyle namnożono domysłów... a jeszcze pewności nie ma. Artysta tymczasem kroczyć musi w sam środek zadania i z mgły, z tumanów niepewności wyprowadzić na światło dzienne postać żywą, silną, którejby publiczność nie miała prawa powiedzieć: „Jesteś fałszem.”

Można się nie godzić na Hamleta Królikowskiego, odnośnie do zasadniczego pojęcia tej postaci, ale trzeba się zgodzić, iż w nim nie ma dysonansów, ani niekonsekwencji.

Wielka szkoda, że z olbrzymiego szeregu Szekspirowskich bohaterów i typów te dwa tylko przypadły na udział Królikowskiego. Zdaje się że jego artystyczna karyera w wielu z nich znalazłaby szczytne dopełnienie, kiedy dotychczas jego Moor, Shylok i Hamlet są raczej świetnym tylko dowodem, jak wiele ten znakomity artysta zdziałać by mógł, gdyby...

Gdyby co?...

Każdy tragik i aktor do ról dramatycznych potrzebuje odpowiedniego otoczenia. Nie dla siebie—ale dla ról które przedstawia. Gdyby tu np. uparto się na wystawienie Leara, jesteśmy pewni że najwspanialsza ta tragedia Szekspira z powodu braku stosownej obsady zrobiłaby zupełne fiasco. I to jest właśnie powodem, dla którego Królikowski w swjej działalności jest jakoby spętany.

* * *

O Królikowskim różne krążą zdania. Jedni powiadają że artysta ten walczy siłą wyłącznie talentu tylko — inni,

że inteligencją i pracą bez zapалу i uniesień. Dwa zdania sprzeczne, a jednak ludzko prawdziwe. Mybyśmy odważyli się wnioskować, że w Królikowskim praca i inteligencja istotnie stanowią główny klucz do rozwiązania zagadki jego tryumfów. Świadczyć się zdaje o tém pewna jednostajność w grze jego, wprowadzie ledwie dostrzegalna, ale mimo to niezaprzeczenie istniejąca. Nie dowodzi to bynajmniej, aby talent tego znakomitego artysty nie działał tu zarówno, ale w nim siły głównej szukać u niego nie należy.

Pracą tedy, olbrzymią, usilną i niezmordowaną pracą Królikowski zaszedł aż tam, gdzie inni zdążać się nie ośmielą. I tylko taż praca właśnie mogła go zaprowadzić tak daleko. Ona to mu dała podstawy działania pewne i niezachwiane, ów grunt pod stopy, na którym opierać się musi wszystko to, co ma być stałe.

Pracą tedy doszedł Królikowski do trafnego chwytania postaci ze strony właściwej, do odgadywania zasadniczych rysów, do prawidłowego uwydatniania momentów głównych. Ona to mu dała pewny pogląd na ogół tych postaci, a zarazem niezmierny zasób materiału do urozmaiconego przyoblekania myśli autora w żywe kształty.

Pracą też systematyczną, uporczywą, Królikowski głosowi swemu nadał ową elastyczną dźwięczność, którą w nim podziwiamy. Przez nią twarz jego nabrała wyrazistości ekspresyjnej, spojrzenie wymownej siły, ruchy okrągłości skończonej, wysoce estetycznej i, rzeklibyśmy, perspektywicznej zarazem.

Jeżeli Królikowski nie jest olbrzymem talentu, to niezaprzeczenie jest mistrzem doskonałej szkoły. Jeżeli nie jest wirtuozem, to jest zato skończonym artystą, świadomie poszukującym piękna i świadomie ożywiający je w grze umiejętniej, obmyślanej. Ztąd to właśnie płynie pewność jego scenicznych tryumfów, trwałych i niezawodnych.

Sł. M. Rz.

DWIE PIEŚNI.

Są... co uderza w nich grom za gromem,
Oczy im wędzną wśród ciągłych łez
Życie wędrowką po wzgórzu stromem
A u mogiły męczarni ich kres...

I jeśli czasem jaśniejszej doli
Błyśnie im promień... jak mara snów...
Pytają: kiedyż serce zaboli
I czemu gromy nie biją znów?!

* * *

Zda mi się że niebo puste
Jednym grobem ziemia cała,
Wszystkie gwiazdy w okół zgasty,
Wyschłe morze, pękła skała.

A ja—mego „ja“ nagrobek
Zimny stoję pod drzewami...
I wiatr wieje i deszcz rosi
Wciąż zimnemi na mnie łzami...

Tadeusz Czapelski.

BUKIECIK FIJOŁKÓW.

NOWELLA.

Doprawdy, niewiadomo kto jest duszą tego prześlizzonego buduaru: czy ta piękna pani, zatopiona w poduszkach miękkiej kozety i baczenie odczytująca jakieś arcy-zajmujące opowiadanie Ouidy, czy też ten bukciek w majoli-

kowym wazoniku, roztaczający wokoło delikatną, słodką woń swoich kwiatków.

W tej ciszy, wśród której drobna muszka skrzętnie poszukuje ukrytych za jedwabną oponą promieni słońca — kobieta zatopiona w czytaniu i kwiaty milczące, a tak wymowne, w dziwną splatają się harmonią. Atmosfera pokoju przepełniona jest uroczą wonią i wdziękiem. Wygląda on na tajemniczy przybytek bóstwa, którego obecność trwa, tylko pełna majestatu zadumania... Lękam się nawet, czy mi wolno was tu prowadzić, o czytelnicy, abyście zbyt ciekawymi spojrzzeniami nie dopatrywali ziemskich cech na tym wyjątkowym otoczeniu.

Wyjątkowym mówię, bo istotnie w buduarze pięknej pani ułożyło się wszystko w ład tak zachwycający, w spójnię tak jednolitą, iż doprawdy, pokój ten niewieści przybrał pozory małej świątynki. Nawet cień półmroczny, który pozbierał rozproszone blaski z marmurowych ścian i alabastrowych ozdób, aby je pokryć łagodną barwą — podnosił ten urok ustronia do wysokiego stopnia.

Za weneckim, wysokim oknem świat cały wrze życiem i ruchem... Tam ludzie w codziennym trudzie i rozgwarze snują się na wszystkie strony, szukając chleba, rozrywki, rozkoszy... tu — piękna kobieta, zatopiona w fantastycznej opowieści, snuje bladą nitkę dumań, które, bądź co bądź, musiały się zakończyć — nudą.

Oto w tej chwili niedbałym ruchem miękkiej i wypieszczonej dłoni odrzuciła czytana książkę i ziewnęła lekko, spoglądając wokoło tak, jakby piękne jej oczy zwątpiły o siłę swą i o swą potęgę. Ach!... tak tu duszno, choć pięknie! Oto dłoń jej porusza zlekka frendzle poduszki, a nóżka drga nerwowo... Ouida pisze tak pięknie, ale... bądźże tu przez dzień cały sam na sam z kimś, co wciąż snuje jeden i ten sam wątek rozmowy, nie troszcząc się o nasze myśli i marzenia.

Wstała i przeszła się parę razy po pokoju. Postąpiła potem chwilę króciutką przed zwierciadłem, poprawiła machinalnie płowych włosów nad skronią i... znowu spojrzała bez celu wokoło.

To spojrzenie, prawie przelotne, szybkie, nerwowe, w tej chwili nabrało dziwnej siły. Żal, nuda, niechęć... prawie rozpacz świeciły z cudnych oczów kobiety, która jeżeli była ziemską boginią, to... w złożonych okowach.

— Nudno mi — szepnęła sama do siebie — zbliżając się do hebanowego stolika, pokrytego miękkim jedwabnym dywanem, na którym stał wazonik z fijołkami. Nudno mi i... tęskno.

Dłoń jej, która w tej chwili spoczywała na piersiach, igrając ze zwojami misternego łańcuszka, podniosła się zwolna i delikatnie ujęła ów pachnący bukiet.

— Biedne kwiatki, lepiej wam być musiało na łące, wśród której życie i weselość, ruch i swoboda panują nad wszystkim. Biedne kwiatki!... — dodała szeptem.

I poczęła im się przyglądać bezmyślnie, odchylając ostrożnie fioletowe listki. To machinalne studium trwało parę minut, ale wkrótce piękna pani wpadła w jakąś głęboką zadumę i stała z tym bukietem w ręku jak posąg żywy, smutna, choć wspaniała i urocza.

W tej chwili portyera od drzwi wchodowych uchyliła się zwolna i z pozą fałd jej karmazynowych ukazała się twarz mężczyzny, o wyrazie łagodnym, o spojrzeniu smętnym a mimo to badawczym.

— Czy wolno?...

Kobieta odwróciła szybko głowę, odrzuciła bukiet i rzekła:

— Proszę.

Pytający wszedł.

Ten uśmiechnięty wytwornis, o ruchach eleganckich i manierach salonowych, który w tej chwili wbiegł prawie i ujął gorąco dłoń kobiety, był jej mężem. Znać to było z jego uśmiechu, ze spojrzenia, z bezceremonialnego, a przecież wykwinętego znalezienia się w obec pięknej kobiety.

Wszedł, uściśnął jej małą rączkę, złożył pocałunek na jej czole i obejrzał się wokoło, zaciągając dłoń.

— Jakże tu ślicznie — rzekł z uśmiechem zadowolenia. Cudne gniazdeczko rajskiego ptaszka... albo siedlisko uwięzionego na ziemi anioła. Niezmiernie jestem kontent, że ten cudowny buduarzyk nadaje się wybornie na cichą ustron dumań mojej fantastyczki i marzycielki...

Ona spojrzała nań z wyrazem pewnego zadziwienia.

— Fantastyczki i marzycielki?...

— Czy się na te niewinne tytuły nie zgadzasz?... A przecież prawdą jest, że dnie całe spędzasz na rojeniach... Cóż, czy mi zaprzeczysz?...

Kobieta zwolna podeszła ku kozetce i usiadła, a podparłszy dłoń głową, wpatrzyła się w mówiącego.

— Tymczasem, życie moje, po za rojeniami istnieje świat cały rzeczywistości, której się także przyjrzyć warto.

Mówiąc to, usiadł przy żonie i ujął z elegancją jej rączkę, która w tej chwili lekko drżała.

— Jesteś młoda i piękna i nie powinnaś szukać urzeczywistnienia wysnionych ideałów w czterech ścianach buduaru. Nasze położenie materialne doskonale cię upoważnia do życia usłanego różami... a przyznasz, Helenko, że, o ile mogę ze swojej strony, kwiatów tych ci dostarczam...

Pani Helena wpatrywała się w mówiącego męża ciągle z lekkim wyrazem zdumienia w pięknej twarzy, która zmieniła się w tej chwili o tyle, iż była bladejsza, niż poprzednio.

— Nie dobrze cię rozumiem — rzekła zwolna, cofając dłoń z uścisków męzowskiej ręki. — Nie wiem też o jakich to mówisz wysnionych ideałach, i jak chcesz, aby je urzeczywistniać. Róże, które mi sypiesz pod stopy, cenię jak należy, ale...

— Ale?... — pochwycił mąż z uśmiechem. — Więc jest i ale?

— Znajduje się ono zawsze i wszędzie.

— Czy mi je zechcesz wskazać?...

— Jeszcze go sama nie pojmuję dokładnie, ale że jest... to przeczuwam.

Teraz mąż spojrzawszy badawczo w twarz żony i powstawszy z kozety, przeszedł się tam i napowrót po pokoju, a stanawszy przed Heleną, począł z ekstazą:

— Twoje ideały?... rzeczywistość?... Powiedz mi o pierwszych, a ja ci wskażę drugie.

Ona pochyliła skronie i po chwili namysłu rzekła:

— Moje ideały znasz i określać ci ich nie potrzebuję. Oddałam ci rękę przez miłość i... pragnę tylko miłości. Czy teraz wskażesz mi... rzeczywistość?...

Ten zwrot niespodziany wydał się panu mężowi lekkim atakiem, zapowiadającym systematyczną wojnę. I on w tej chwili zrozumiał, że pomiędzy nim a żoną stoi naprawdę jakieś *ale* — coś bardzo drażliwej natury, czego nie należy dotykać. Usiadł więc przy niej i ujął znowu rączkę żony, a spoglądając głęboko w jej śliczne oczy, mówił z zapalem:

— Rzeczywistość jest zawsze przy tobie... Szuka ona twoich spojrzeń i uśmiechów, pozwala się czarować dźwiękiem twojego głosu, rozkoszuje się twoją pieśczęcią i miłosnym szeptem... Czyliż w to już nie wierzysz?...

Pani Helena podniosła się nagle i podeszła do stolika hebanowego, na którym leżał porzucony przed chwilą bukiet fijołków. Ujęła go szybko, rozgarnęła zlekka drobne kwiateczki i włożyła je w wazonik, a odwróciwszy się nagle ku mężowi, rzekła:

— Doprawdy, po dwóch latach pożycia małżeńskiego jesteś mi skłonny do romansowych uniesień. Czy to nie śmieszne?... A tymczasem, wracając do owego *ale*, o którym wspomniałam, zdaje mi się że jest ono od tych uniesień bardzo dalekiem.

— Jak to rozumiesz?

— Oto: chciałam się poprostu zapytać, czyś czasem nie wyjeżdżał wczoraj?... Nie widzieliśmy się przez dzień cały.

Pan mąż wstał, poprawił ruchem przelotnym włosów, a przechadzając się po pokoju, odrzekł:

— Ach prawda! To ta fatalna Warszawa tak absorbuje wszystkie chwile życia. Na każdym kroku interesa, sprawy, zawiąkania, z którymi rady sobie dać niepodobna. Przeklęte miasto! Wszędzie i zawsze spotykać się trzeba z całą chmarą ludzi, którzy gotowi spokojną drogę prze-

chodnia zaważyć kłódami, byle mu tylko zabierać dnie całe i...

— Zapewne i dzisiaj będziesz równie gwałtownie zajęty?...

— Dzisiaj... to zależy od okoliczności, które znowu nie zależą od nas.

— To znaczy, że mogę sobie bezpiecznie marzyć i roić o wyśnionych ideałach, pocieszając się tem, że przynajmniej tobie przypadła—w udziale... rzeczywistość?...

— To wygląda na lekką wymówkę...

— Nie. To tylko skarga... zapewne na konieczność. Uchylmy przed nią czoła. Zresztą... od dwóch miesięcy poddaję się tej konieczności i od dwóch miesięcy, tak — poraz pierwszy... skarżę się.

W tej chwili mąż, wstrzymawszy swój emocyjny pochód wzdłuż i wszerz buduaru żony, stanął przed nią, przybrał wyraz czułości i szepnął:

— Helenko... skończy się to! Tymczasem wierzaj mi, iż każda chwila, spędzona nie przy twym boku, jakkolwiek stracona dla mnie, tobie przynosi nową siłę moich uczuć. Tęsknota i smutek... obraz twój ciągle w mojej wyobraźni... o tak!...

— Czy doprawdy?... — spytała, obróciwszy twarz ku mówiącemu z wyrazem powątpiewania, z którym mieszał się inny: chętniej, ale niedość silnie pobudzonej wiary w jego słowa.

Mąż w tej chwili sięgnął do bocznej kieszeni tużurka i wyjął z niej prześliczne safianowe pudełko. Otworzył je, zwrócił ku żonie i rzekł:

— Oto dowód. Wczoraj, biegnąc ulicą w zadumie o tobie, mój aniele, ujrzałem niespodzianie w wystawie sklepowej to cacko. To dla mojej Helenki—rzekłem w duchu—i oto jest!

Helena z dziecinną prawie radością ujęła pudełko i zatopiła spojrzenie w przepyszną kolii, w której brylanty bogate i świecące tęczowemi barwy zdawały się walczyć o lepsze z blaskiem zachwyconych oczów pięknej kobiety.

— Al.. jakież to ładne—rzekła—jakież to ładne! Dziękuję ci!.. Czy mi w tem będzie do twarzy?..

Pobiegła przed lustro i zachwycała się pięknością drogiego cacka, a mąż stanawszy przy niej, zapytał głosem tryumfującym:

— I cóż, jedyna, czy mi teraz wierzysz?..

Ona uściśnęła jego dłoń z wyrazem serdecznej wdzięczności i uśmiechnęła się rozkosznie.

— Więc mi wierzysz?.. Aha, mała figlarko... Potrzeba ci aż takich dowodów?.. No!.. ale to dobrze. Nie zbraknie ci ich nigdy... żądam tylko.

Mówiąc to, elegancki małżonek spojrział na zegarek i chwytając kapelusz, rzekł:

— A teraz... do widzenia, mój aniele. Śpieszyć muszę... ważne sprawy wymagają tego. Oddaj się słodkim marzeniom, ale już tylko o rzeczywistości, a ja tymczasem dołożę wszystkich sił, aby się jaknajprędzej znaleźć u stóp swojej bogini.

Ucałował z gracyą jej rączkę i wybiegł.

Pani Helena po wyjściu męża raz jeszcze spojrziała w lustro, raz jeszcze przyjrzała się bacznie drogiemu klejnotowi, a potem, złożwszy go troskliwie w pudełeczko, położyła na swojej tualecie.

Twarz jej była rozpromieniona. Tak mało jej było potrzeba... tylko kolii brylantowej, aby uwierzyć w rzeczywistość. Teraz sama dziwiła się sobie, iż miała chwile nieufności. A powody?.. Powodów nie miała żadnych, nigdy, tylko... ta tak częsta nieobecność męża, czasami roztargnienie jego i dziwny oddźwięk w głosie, jakby... nie szczerości.

Nagle piękna kobieta spojrziała na dywan, na którym tuż przy hebanowym stoliku, leżał jakiś przedmiot różowy. Przyjrzała się baczniej—był to list. A... to zapewne mąż wyjmując pudełko z kolii, uronił go niebacznie z kieszeni, Podniosła go.

List był różowy, pachnący, mały... i... niezapieczętowany. Pani Helena przyjrzała się bacznie adresowi. Adres mówił: „Do panny Hortensyi *** ulica“... i t. d.

— Do panny Hortensyi?... Co to znaczy?...

Rozwiązanie zagadki łatwe: należało tylko zajrzeć do środka, a wyjaśnienie gotowe. Ale... czy się godzi?..

— Pismo... mego męża! O! przecież on nie ma tajemnic przedemną. A jednak... może to nieszlachetnie! A moje prawa żony?...

Piękna kobieta po takim rozumowaniu bez wahania już rozłożyła list fatalny, który brzmiał:

„Aniele!...

Serdeczne dzięki za te kilka słów, twoją skróconą ręką. Masz prawo rozkazywać, a ja obowiązek spełnić winienem. Ponieważ tej drobnostki przyjąć nie chcesz... dobrze!... odbieram ją z żalem i ofiaruję swą żonę. Jest ona dostatecznie łakoma na brylanty i świecidełko to uspokoi ją na czas długi.

Aniele mój—pamiętaj—dziś o godzinie 6-jej.

Do widzenia!...

Twój W.“

Pani Helena, czytając ten list, bladła. Gdy czytanie skończyła, dłonie jej opadły bezwładnie, pierś załkała głucho, oczy rzuciły błyskawice żalu, uniesienia i dumy, a po chwili pudełko z kolii leżało na dywanie, zgruchotane w drobne cząstki.

— Ha!—jęknęła biedna kobieta, rzucając się z ruchem rozpacz na kozetę—więc to... rzeczywistość z łaski kochanki mego męża! Jakież upokorzenie!

I zatopiwszy twarz, bladą jak marmur kararyjski, w dłoniach, siedziała tak długo, długo... marząc zapewne o wyśnionych ideałach i... rzeczywistości.

(D. c. n.)

DUCH WOJEWODY

LUDWIKA GROSSMANA

W WIEDENSKIEJ KOMICZNEJ OPERZE.

(Oryginalne sprawozdanie „Gońca Teatralnego“).

Wiedeń, dnia 30 stycznia.

Opóźniłem się nieco z nadesłaniem sprawozdania, jednak uczyniłem to umyślnie, chcąc przeczekać jaki sąd wyda miejscowa krytyka o ziomku naszym. Obecnie wszystkie większe dzienniki złożyły się zbiorowo na krytykę bardzo pochlebną dla kompozytora, która ze strony publiczności, zaraz na pierwszym przedstawieniu jeszcze pochlebniej dla niego wypadła.

Znam uprzedzenie Wiednia i niechęć zakorzenioną dla wszystkiego co polskie i w ogóle słowiańskie, dla tego tem większą muszę przywiązać wagę do powodzenia, jakie tu odniósł p. Grossman, którego przy pierwszym przedstawieniu „Ducha Wojewody“ dziesięć razy wywołano.

Nadto, niektóre wybitniejsze numera musiały być powtarzane nie tylko na pierwszej, lecz i na następnych reprezentacjach, pomimo, że z wyjątkiem p. Charles-Hirsch żaden z artystów biorących udział w przedstawieniu nie wzniósł się nad bardzo mierne oddanie swą roli.

Ogół krytyki miejscowej, na jej czele powagi takie, jak professor Hanslik w „Neue freie Presse“ i Gehring w „Deutsche Zeitung“ tak korzystnie wyraził się o talencie p. Grossmana, że i z tej strony laury przypadły kompozytorowi naszemu w udziale.

We Wiedniu od czasów Bajreuth żadna opera, ani opereta nie miała takiego powodzenia, zaczawszy od Brühla „Złotego Krzyża“ i Kretschmera „Folkunger“, a skończywszy na Offenbacha „Roi Carotte“ i Straussa „Me-thuzalem“.

Że Offenbach i Strauss więcej mieli protekcji, ani-

żeli *homo novus* Grossman, [o tem nikt, wątpić nie może; jeżeli więc ostatni większe miał od nich powodzenie, to również wątpić nie należy, że odniósł je tylko rzeczywistemi zaletami swęj kompozycji, swym talentem, mimo wszelkiego apriorystycznego uprzedzenia i niechęci.

Nie przytaczam wszystkich pochlebnych głosów krytyki wiedeńskiej, bo na to niepozwała szczupły rozmiar niniejszego sprawozdania, można się więc ograniczyć na pobieżnem wymienieniu dzienników, które w Grossmanie, podobnie jak publiczność wiedeńska, powitały wiele rokujący talent kompozytorski.

N. fr. *Prese* i *Deutsche Zeitung*, dwa organa prasy miejscowej najbardziej wpływowe i w sprawach artystycznego powodzenia stanowczo rozstrzygające, najkorzystniej oceniają „Ducha Wojewody.” *Morgen Post*, *Tagblatt*, *Tagespresse*, *Vorstadtzeitung*, *Extrablatt*, francuski dziennik *Messenger de Vienne* również pełne są pochwał i uznania dla kompozytora.

Chór początkowy w pierwszym akcie—„pieśń o skowronku,” śpiewana po mistrzowsku przez p. Charles-Hirsch w drugim akcie i cały akt trzeci szczególnie tu się podobały. Melodye węgierskie mniej zyskały uznania. Akt drugi grzeszy trochę brakiem akcji, więcej ze strony librecisty aniżeli muzycznego kompozytora. Dlatego też, pomimo pysznego baletu i wspaniałej wystawy nie zdołał zyskać tyle oklasków, jak pierwszy i ostatni.

Reasumując zdania krytyki i publiczności konstatuję bezstronnie, że p. Grossman niezwykajnie miał tu powodzenie i że przekroczył w Wiedniu zwycięzko Rubikon zwycięzkości powszechniej.

Chcąc być bezstronnym, nie mogę pominąć i ujemnej krytyki o „Duchu Wojewody” wypowiedzianej w *Fremdenblatt* i stariej „*Presse*.” Szczególnie ostatnia bardzo ostro traktuje kompozytora, jednak okoliczność, że nie *Schele*, tylko *homo obscurus* Ed. Singer kaleczy skalpelem krytycznym, łagodzi bardzo na korzyść kompozytora wszelkie zarzuty. „*Fremdenblatt*” i „*Presse*” jako dzienniki półurzędowe z obowiązku swego muszą popierać p. Jaunera dyrektora nadwornej opery, który naturalnym jest rywalem dyrektora Hirscha i w ogóle „*Komische Opera*”

Te same sfery inspirowane i przesiąknięte nadto starym duchem biurokratycznym, który *extra muros* Wiednia nie zna nic znakomitego—jeszcze gorzej obeszły się z Moniuszką a mianowicie z jego „*Strasznym Dworem*,” który z niezwykajnem dawany jest powodzeniem obecnie we Lwowie. Ażeby zaś dać dokładne wyobrażenie o tej stronniowości, przytaczamy na zakończenie dosłowny przekład krytyki o tem arcydziele naszego mistrza.

„W lwowskim teatrze przedstawiono niedawno poraż pierwszy najnowszą operę Moniuszki p. t. „*Straszy dwór*,” Pomimo niezwykajnej reklamy, poprzedzającej kilka tygodni przedstawienia, nie miała ta opera innego, jak tylko bardzo mierne powodzenie. Libretto, pełne płaskich dowcipów, jest nieudalę dziełem warszawskiego reżyssera Chęcińskiego; część muzyczna polega w większej części na chórach i solach nie mających żadnej wartości, które, chociaż trzymane w wielkim stylu, nie posiadają żadnej artystycznej treści i nadto są niezgrabnem naśladownictwem cudzych oper. Pomimo tego mają dzienniki polskie tyle bezczelności, porównywać opery Moniuszki z arcydziełami Mayerbeera i Ryszarda Wagnera.”

Jestto niezawodnie piękny dowód koteryjnej tolerancji. Pamflet ten dołączam w oryginale.

Tymczasem „*Duch Wojewody*,” z brawurą trzyma się na repertuarze i czem raz większe zyskuje uznanie. Kompozytora i po następnych przedstawieniach wywołują a nadto teatr zawsze przepelniony.

Grossman jest *l'homme du jour*.

Gr. Smólski.

FAŁSZYWE BLASKI.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE,
ZOFII MELLEROWEJ.

(Ciąg dalszy).

FILIP. Janowa dawno zna panią?

JANOWA. Niedawno, wprzódym nim na boży świat wyjrzała. Służyłam u jej rodziców.

FILIP. Powiedzieć mi tedy...

JANOWA. Nic nie powiem, bo i tak zawdy wypa-
plę za wiele—później jeno pani się gniewa.

FILIP. Alboż wasza pani umie się gniewać... taka słodka, taka łagodna, ona musi być jak anioł, musi lubić jedynie... jedynie... no cóż?... nic nie mówicie? (*Janowa głową potrząsa*). Powiedzieć przecie co lubi?

JANOWA. Niby z jadła czy napitku? Et, ona istny wróbelek, dziubnie parę razy i już ci syta.

FILIP. Ale nie z jadła ani napitku, tylko tak... w ogóle... no, rozumiecie?

JANOWA. Aha, niby tak... to miłuje męża teraz-niejszego, chociaż czort wie za co.

FILIP. A oprócz męża?

JANOWA. Ano, dziecko.

FILIP (*n. s.*). To już ma (*głośno*) a potem?

JANOWA. Niby mnie, książki, kwiaty.

FILIP. Aha, kwiaty—a dalej?

JANOWA. Wieś, muzykę.

FILIP. Cóż jeszcze?

JANOWA. Jeszcze? eh, już chyba dość.

FILIP. Ale jeszcze, przypomnijcie sobie.

JANOWA. Nie mogę... A do czego to panu?

FILIP. Tak sobie z ciekawości.

JANOWA. Aha, już wiem.

FILIP (*żywo*). Cóż, cóż?

JANOWA. U rodziców lubiła zawdy... pierogi z ja-
godami.

FILIP. Eh, wy myślicie o jedzeniu jedynie.

JANOWA. No, teraz już wiem — i to ją zgubiło...
Lubi wiersze.

FILIP. Jeszcze nie to, poszukajcie.

JANOWA. Bodaj łeb ukreć, ani w ząb.

FILIP (*n. s.*). Baba ciemiega (*głośno*). Z jakiegoż
powodu porzuciła pierwszego męża?

JANOWA. Anioła panie, coby jej krwi własnej nie
poskapił.

FILIP. A poszła za...

JANOWA. Za tego pismaka, bo... bo... z przepro-
szeniem (*ciszéj*) cielatko. Bo się nie zna na ludziach. Ten
ją zoczył na balu i nuż pleść androny, nuż tumanić gład-
kimi słówkami, a ona, niby turkawka, pieszczot łakoma.
Jedynastwem było to w domu, więcemy wszyscy chu-
chali, dmuchali... a wiadomo, że czem skorupka nasiąknie
za młodu... już pan rozumie?

FILIP (*uradowany*). Rozumiem, rozumiem!... O moja
Janowa, jakżem wam wdzięczny (*słychać dzwonek*). Przyj-
mijcie to... (*kładzie jej w rękę pieniądze*).

JANOWA. Na orzechy—dziękuję (*dzwonek głośniejszy*)
ktoś dzwoni (*wybiega głębia*).

FILIP. Zatem pieszczot żądna! o aniele! (*wchodzi z le-
wej Leonora*).

LEONORA. Czemu nie otwieracie Janowa? (*głębia
wchodzi Łubin*).

SCENA X.

LEONORA, FILIP, ŁUBIN.

FILIP (*do Łubina*). Twoją odpowiedź sam wręczy-
łem Banderowi, ani chce słyszeć o rozstaniu się z tobą.
A na zgodę przysła ci tę książeczkę, do której wedle twego
żądania, dodatkowo wydrukować kazał dedykację, jak się
domyślam, dla żony. O, proszę pani... (*podaje Leonorze
książkę*) „Do mego Bóstwa.”

LEONORA (*bierze książkę*). Twoje poezye.. ależ one nie były dedykowane nikomu...

ŁUBIN. Pozwól... (*chce odebrać książkę*).

FILIP. To też do jednego tylko egzemplarza, do drukowano tę ćwiarteczkę... na upominek dla pani.

LEONORA (*czyta*).

„Sztuka, ducha mojego wraz z twoim jednoczy,

„Lecz natchnienia mi czarne dostarczyły oczy,

„Składając więc kapłance ofiarę, wyznaję

„Że mi nad wszystkie sztuki, miłszą się wydaje!”

ŁUBIN (*kilkakrotnie usiłował odebrać książkę*). Pozwól... pozwól... liche wiersze... daj...

LEONORA (*do męża*). Dla kogo ta książka, dla kogo?

FILIP. Ah, ale pani ma przecie oczy niebieskie, nie zaś czarne!

ŁUBIN. To... to... (*cicho do Filipa*). O przekłety, coś ty narobił!

LEONORA. Mów... komu ta dedykacja?...

ŁUBIN (*coraz bardziej zmieszany*). To... to... dla jednej z naszych artystek...

LEONORA. Po co? w jakim celu?

ŁUBIN (*jękając*). Wiadomo ci, że oddałem do teatru mój dramacik... obecnie będący już w nauce... otóż... owóż... wypadało poznać się bliżej z aktorką... celem... celem przestudyowania roli... a w konsekwencji oddać należy hold talentowi.

FILIP. Nie pomijając wdzięków.

ŁUBIN. Oto powód dedykacji, jak widzisz skleconej na prędcie; bez sensu...

LEONORA. Dla czego taileś przedemną?

ŁUBIN. Pragnęłam zrobić ci niespodziankę, od razu przynosząc czerwony afisz.

FILIP. Kiedyż pierwsze przedstawienie?

ŁUBIN (*ciszéj*). Milcz.

LEONORA. Dziwném mi się to wydaje...

ŁUBIN. Drobnostka, nie warta tyle hałasu. Autorowie muszą porozumiewać się z aktorami, to konieczne. Byłem na pierwszej próbie... przyznać należy, że u nas grać umiał... No, Leno, dziecko moje... a, jaka nadąsała... może zazdrośna... fi!... taka buzia nie powinna obawiać się konkurencji... no, proszę się uspokoić... Leno droga, daj łapkę na zgodę, rozchmurz śliczne czoło... (*całuje jej rękę*) i oddaj ten tomik... (*Lena, uważnie patrząc mężowi w oczy, po pewnem wachaniu oddaje*). Tak, to grzech-

nie, to rozumnie... a ty Fipku, pójdz do mnie, przeczytam ci mój nowy poemat.

FILIP. Zaraz, zaraz, tylko odeślę konie, bo jeszcze dziś nie jadły obiadu! (*odchodzi głębią—Łubin na lewo*).

SCENA XI.

LEONORA *potém* JANOWA.

LEONORA (*sama*). Miałaby mnie już zdradzać?... nie, niepodobna... (*z gorzką ironią*) to jeszcze zawczasie! (*Janowa wchodzi z prawej*).

JANOWA. Pakciarz z Petrykoz przywiózł ten papier, pewnie z wieścią od naszego dzieciątka.

LEONORA (*otwiera*). „Najdroższa mateńko!” (*mówi*) Ah, dziecko moje najmiłsze! (*całuje list z uniesieniem*). Pierwsze pismo tego aniołka! patrzcie, patrzcie...

JANOWA. Od Ewuni! o kanarek! cóż ona tam robi ptaszynka?

LEONORA (*przebiegając list*). Tęskni, chce wrócić...

JANOWA. Sierotka! (*spostrzegłszy się, wybiega*).

LEONORA (*drgnęła na ten wyraz*). Ah!... sierota!... tak, prawdę rzekła! I jam to ja osierociła!.. pozbawiłam ojca i stałam się matką wyrodną!.. Wydalili z domu, bo on powiedział, że mu szczebiot dziecka przeszkadza w pracy... Zaślepiona, własnymi jedynie zajęta przyjemnościami, zapomniałam o tobie, zachwiałam całą twoją przyszłością! Oh! z jakimże ja teraz rumieńcem stanę przed tobą o córko, i czem usprawiedliwić zdołam mój postępek, moją zbrodnię! (*wchodzi Łubin*).

SCENA XII.

LEONORA, ŁUBIN *później* FILIP.

ŁUBIN. Filip nie wrócił jeszcze?

LEONORA (*zajęta listem*). Patrz! (*podsuwa list*).

ŁUBIN. Coż to za kulfony?

LEONORA. Pismo Ewuni... o drogie literki (*całuje list*).

ŁUBIN. Nie lubię dzieci; nudzą mnie (*wchodzi głębią Filip*).

FILIP. Idzie tu właśnie owa deputacya, o której ci wspominałem.

ŁUBIN. Ah!

(D. c. n)

S P O R T.

Hodowla koni. Stadnina w dobrach Łosiu (gub. Warszawska, pow. Górno-Kalwaryjski) własność p. Wł. Mysyrowicza.

Stado koni w Łosiu założonem zostało w roku 1850 z klaczy miejscowych, rasy dawniej polskiej i tureckiej, pokrywanych ogierami stada janowskiego.

W roku 1854 kupionym został na licytacji tamże ogier gniady Numa, po ogierze angielskim pełnej krwi Ludlow; następnie kupionym był ogier arabski Presse-papier, a że źrebięta były po nim małe i nieodpowiednie wymaganiom, sprzedany został wraz z całym potomstwem. W roku 1865 nabytym został ogier angielski pełnej krwi Tordesillas po Touchstone jego dopiero potomstwo z klaczy po Numie, okazało się doskonałe, zdane do wszelkich usług stosownie do matek jakie miał sobie dawane.

W r. 1866 sprowadzonymi zostały trzy klacze pełnej krwi angielskiej ze stada hr. Renarda, te były żrebne po pierwszorzędnym ogierach i wydały bardzo dobre potomstwo; obecnie stado w Łosiu składa się z koni rasy przeważnie pełnej krwi angielskiej, lub też pochodzącej od tejże, to jest $\frac{3}{4}$ i $\frac{1}{2}$ krwi. Utrzymywane jest w czystości, jak o tém rodowody przekonywają i odświeżane ogierami z Anglii sprowadzonymi. Celem hodowli jest produkować ogierów rozplodowych, konie wierzchowe i wyścigowe, $\frac{3}{4}$ zaś i $\frac{1}{2}$ krwi jako konie kawalerskie i zaprzężne.

Stado składa się z ogiera oryginalnego angielskiego, dziewięciu klaczy pełnej krwi, oraz dziesięciu $\frac{3}{4}$ i $\frac{1}{2}$ krwi angielskiej.

Wzrost koni jest rozmaity, w przecięciu liczyć można 2 arszyny $\frac{3}{4}$ i $\frac{1}{2}$ wershka, chociaż są i 5-cio wershkowe.

Maść w stadzie przeważnie gniada, są jednak kare, skarogniade i kaszatanowate: siwe rzadko się trafiają.

Klacz żrebne używane są do zaprzęgu z wyjątkiem tych pełnej krwi, które są temperamentu gorącego i zbyt niespokojne. Pożywienie koni składa się z owsa, siana i marchwi z odpowiednią ilością szezki. Ogierzy dostają zimową porą owsa garncy 2, siana funtów 10 i marchwi garncy 4; w czasie stanowienia owsa 3 do 4 garncy i siana funt. 10. Klacze zimą owsa garniec 1, siana funt. 10 i marchwi garncy 5; po wyżrebieniu ilość owsa powiększa się do garncy 2 z dodaniem 2 garncy otrąb z 10 funtami siana. Żrebięta w parę tygodni po urodzeniu dostają owies w odpowiednich żłobkach i ten jedzą dowolnie; po odsadzeniu przeznaczone na wyścigi są silnie karmione owsem i najpiękniejszym sianem (dostają od 2 do 3 garncy owsa i siana ile zjedzą); inne dostają po garncy owsa, siana funtów 5, marchwi garncy 2. W drugim roku dla wyścigowych ilość owsa powiększa się, a siana zmniejsza się; inne zaś dostają też samą ilość owsa, tylko dodaje się im zgonin i marchwi; chodzą one po pastwisku letnią porą, a w czasie zimnego lata mają zadawane na noc cokolwiek siana i słomy jaręj.

Obszernych naturalnych pastwisk niema, są tylko pozakładane sztuczne pastwiska i na tych klacze ze źrebiętami i celna młodzież więcej dla ruchu jak dla pożywienia przechadza się; reszta młodzieży i klacze jałowe chodzą razem na wyspie położonej wśród wielkiego stawu; dla żrebców przeznaczonych na ogierów porobione są osobne zagrody.

Dozór nad całą stadniną ma trener, w czasie jego nieobecności starszy stangret.

Służba składa się z trenera dwóch stangretów i 5 chłopców.

Weterynarz rocznie umówiony co miesiąc przyjeżdża z Warszawy, w razie zaś nadzwyczajnego wypadku umyślnie jest wzywany.

W lutym zaczyna się pokrywanie klaczy; żrebiąt rocznie przechowuje się od 10 do 14; do sprzedania zaś bywa od 6 do 10 sztuk które jako 2-u lub 3 letki sprzedają się mniej więcej w cenie od 200 do 750 rubli.

Obce klacze także są przyjmowane do pokrycia w cenie rs. 15, 25, 40 i 60 stosownie do klasy ogiera.

Stajnie są urządzone w ten sposób, że klacze stoją każda w osobnej klatce, 3 łokcie szerokiej i 6 łokci długiej; na tydzień przed ozrebieniem i parę tygodni po tem przeprowadzane są do obszerniejszych zagrod i tam luzem puszczane bywają. Ogiery celne stoją luzem w boksach; — inne zaś stoją w takich klatkach jak klacze. Młodzież w liczbie od 2 do 4 mieści się w osobnych zagrodach.

Wszystkie stanowiska pod kołmi i żrebiętami ubite są z piasku i ten co parę miesięcy wywożonym bywa.

Służba oprócz płacy otrzymuje: trener 5% od otrzymanych na wyścigach nagród; nadto 2% od ceny sprzedaży; od klaczy obcych pokrywanych ogierami tutejszemi od 2 do 3 rubli; — za każdego żrebaka do 5 miesięcy odchowanego od rs. 1 do 2, to wszystko składa się i w końcu roku dzieli pomiędzy całą obsługę, stosownie do uznania właściciela.

W tym roku ogiery przeznaczone do stanowienia są następujące: 1-o Neptunus znany ogier pełnej krwi angielskiej z Anglii w r. 1872 sprowadzony.

2-o Eclips ogier pełnej krwi angielskiej po Tordesillasie i Colloquint.

3-o Ballon ogier pół krwi angielskiej po Tordesillasie i Roxolanie.

Konie znajdujące się obecnie w trejningu:

Friponier og. gniady po Tordessillasie i Fripon 5 lat.

Thetis klacz kara po Neptunusie i Coloquint 4 lat.

Almea klacz skarog po Neptunusie i Fripon lat 4.

Moloch og. gniady po Neptunusie i Miss Edda 3 lat.

Mignon kl. gniada po Neptunusie i Jurata 3 lat.

Frou-frou klacz kara po Neptunusie i Tordess 3 lat.

Elinor klacz sk. po Neptunusie i Fripon lat 3.

Y. Apropos ogier sk. po Neptunus i Jurata 1 lata.

Y. Adonis ogier gniady po Adonis i Coloquint.

Minerwa klacz sk. po Neptunus i Miss Edda 2 lat.

Miss Owen klacz gniada po Neptunus i Aldona 2 lat.

Letycja kl. kar. po Neptunus i Fripon 2 lata.

Alf ogier kary po Neptunus i Tordessa 2 lat.

Otello ogier kary po Neptunus i Sylfida.

Trenerem jest Szumilo.

Wyścigi. Pomiedzy trzylatkami zapisanemi do biegania na torach austriackich, figuruje klacz kasztanowata Salamandra po Salamandrze i Last-Trial własność hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowia.

Pochodzący z Chorzelowskiego stada własność hr. Jana Tarnowskiego, Ogier ciemno-gniady Przedświt ur. w r. 1872, po Knight of the Garter i The Jewel, po Stockwell i July, po J. Birdcatcher i Gillyflower, po Venision i Temerity, po King of Clubs, w ciągu roku 1875 i 1876 zdobył następujące nagrody:

Pressburg Trial Stakes 2,000 florenów.

Pressburg Nagroda Cesarska 200 dukatów.

Peszt nagroda rządowa 1,000 dukatów.

Peszt produce stakes 1,000 florenów.

Wiedeń Austriackie Derby 6,000 florenów.

Warszawa Derby international 2,000 rubli.

Warszawa nagroda Towarzystwa 1,000 rubli.

Lwów produce stakes 200 dukatów.

Lwów nagroda cesarska 500 dukatów.

Lwów nagroda cesarska 300 dukatów.

Oedenburg nagroda rządowa 400 dukatów.

Oedenburg nagroda rządowa 200 dukatów.

1876 rok.

Pressburg Carlburger Preis 1,000 florenów.

Pressburg Lanschützer Preis 1,000 florenów.

Peszt Karolyi Stakes 2,000 florenów.

Wiedeń nagroda cesarska 600 dukatów.

Wiedeń nagroda cesarska 1,000 dukatów.

Lwów nagroda cesarska 500 dukatów.

Lwów nagroda Towarzystwa 700 florenów.

Lwów nagroda cesarska 300 dukatów.

Baden-Baden złoty puchar i 20,000 marek.

Debreczin nagroda rządowa 200 dukatów.

Debreczin nagroda rządowa 300 dukatów.

Oedenburg nagroda rządowa 400 dukatów.

Peszt nagroda rycerska 285 dukatów.

Praga nagroda cesarska 600 dukatów.

Do nagród nie są wliczone wkłady.

Miscellanea. Pomiedzy osobami zwracającymi na siebie uwagę w czasie tegorocznego sezonu w Nicei, pisma francuskie wymieniają hr. Starzyńską której toaleta podczas balu danego w prefekturze odznaczała się nadzwyczajnym bogactwem i świetnością. Wzmiankowana hr. Starzyńska

celuje zręcznością w jeździe na łyżwach z kółkami i należy do liczby osób bardzo często odwiedzających salon łyżwowania (skating) przy ulicy Halévy.

— Stary Dumas z podróży po Kaukazie, przywiózł z sobą dziecko gór tamtejszych któremu na imię było Wasili.

Używany do posług Wasili odznaczał się zawsze nadzwyczajną bystrością umysłu i sprytem; a przy tem wierny swemu panu, posłuszny na jego skinienie, rozkazy w mgnieniu oka spełniał.

Dumas stroił swego służącego w pyszny kostium czepki, do którego dawał mu swoją broń świetną. Wasili w tem ubraniu wyglądał paderadnie, zdawał się być raczej panującym księciem, aniżeli służącym literata.

Pewnego wieczoru Wasili ze swym przyjacielem wybrał się na bal do Mabilu, gdzie bawili aż do rana. Około godziny 3-jej pożegnali się ci młodzi ludzie, a przyjaciel naszego amfitryona wsadziwszy go do fiakra kazał go odwieść pod Nr. 77, na ulicę Amsterdam, gdzie wówczas Dumas mieszkał.

Wasili nie miał pieniędzy i ztąd mu trudno było fiakra zapłacić, nie chciał też dla małej kwoty budzić swego pana; wychodząc więc z dorożki wyjął z kieszeni kawał papieru, pomiał go w rękę i dorożkarzowi takowy podając mówi: „oto sto franków, weź sobie należność za kurs, i na piwo a resztę zdej mi.“ Stangret widząc to, skłonił się uniżenie i rzekł: „Wasza książęca mość żartuje sobie ze mnie; gdybym posiadał 100 fr. to z pewnością nie jeździłbym na koźle; wasza książęca mość raczy się wcale nie-fatygować i nie troszczyć o zapłatę, mogę przyjść jutro i to niezbyt rano aby waszej książęcej mości nie obudzić zbyt wcześnie.“

Na to mniemana książęca mość dumnie się pokłoniwszy z miną imponującą weszła na schody do Dumasa prowadzące.

Tenże Wasili gdy mu Dumas kazał opastego psa prowadzić na spacer, aby schudł trochę, co dzień o naznaczonej godzinie z psem wychodził z domu zapewniając Dumasa najsołennie, że używają obaj 8 kilometrowego spaceru. Tymczasem pies ani na milimetr nie schudł, a Wasili bardziej jeszcze utył, widocznie więc spacer mu służył.

Gdy jeden z przyjaciół Dumasa zwrócił mu uwagę, że pies jego jest za tłusty, Dumas odpowiedział że służący Wasili co dzień spaceruje z nim lecz i to nie pomaga.

Przyjaciel Dumasa nie chciał wszakże wierzyć tym wymówkom; Dumas zaś był przekonany, że Wasili najuprzejmiej rozkazy jego spełniał twierdząc, że Wasili i za królestwo nie skłamałby wcale.

Dopiero gdy Wasili przedstawił swemu panu rachunki z miesiąca, Dumas przekonał się że tenże robił te 8 lieueus co dzień w połowie koleją żelazną jeżdząc z Varennes do Bastyli i z powrotem do domu, przytem wcale spaceru nie używając.

— W Wiedniu w tych dniach odbyło się posiedzenie założycieli klubu konnych jeźdźców pod prezydencją księcia Trautmansdorff. Zadaniem klubu jest zachęcanie do jeźdźstwa konno, szczególnie do jazdy z przeszkodami i w ogóle do wszelkich turniejów i ćwiczeń na koniu.

Projekt tego klubu powstał w celu przeszkodzenia wzmagającej się olbrzymio niewieściatości u mężczyzn, wynikłej ze zbyt wygodnego życia. Klub tuszy iż uda mu się wskrzesić średniowieczną u szlachty dzielność i rycerskość.

Przedstawicielami klubu są starożytnych rodzin członkowie jako to: hr. Auersperg i hr. Kalnoky z księciem Trautmansdorff na czele.

Podobny klub jak to już wzmiankowaliśmy w numerze 3 naszego pisma, utworzył się w Petersburgu i zyskał Najwyższe zatwierdzenie.

Z naszej strony szczerze życzylibyśmy aby i u nas coś podobnego utworzyć się mogło. Smutno bowiem patrzeć na występującą coraz bardziej w naszym mieście zniewieściatość i gnuśność.

— **Strzelanie gołębi.** W dniu 24 Stycznia r. b. w Monaco miał miejsce jeden z najciekawszych konkursów w strzelaniu gołębi. Szło bowiem o wielką pulę, którą składały: przedmiot wartości artystycznej oraz gotówką 3,780 franków.

Nagrodę tę zdobył p. M. Stonley, który zastrzelił 16 gołębi, czyli wszystkie które przeznaczone były do zastrzelenia. Druga nagroda przyznana została p. Hugo Hallet, za wystrzelenie z liczby 16-tu gołębi sztuk 15-tu; nagrodę stanowiła cyfra 1575 franków.

Franków 945 to jest 3-cią nagrodę otrzymał baron Bower Saint-Clair który zastrzelił 14 gołębi z 15 na zastrzelenie przeznaczonych.

Gra w szachy. W wiekach średnich gra w szachy do której używano żyjących pionów była bardzo rozpowszechnioną i stanowiła jedną z najprzyjemniejszych rozrywek rycerskich. Otóż w tych dniach podczas pobytu Lorda Lytton w Molton, tenże Lord rozegrał podobną partję z pułkownikiem Millett, wprowadzając w modę dawny zwyczaj który się obecnie wielce podobał.

Szachownica zrobiona była z kobierca perkalowego na którym znajdowały się kwadraty czerwone i białe mające po jardzie długości; kobierzec ten rozłożony został w miejscowości obranej przez obu grających. Za piony służyli dorośli mężczyźni i chłopcy, przystrojeni w odpowiednie kostiumy, jedni w czerwone a drudzy w białe.

Stanowiący na oznaczonych kwadratach perkalu, ludzie ci posuwali się stosownie do wydawanych im rozkazów przez jednego lub drugiego z grających. Lord Lytton wygrał partję.

J. N.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:	
Rocznie	Rs. 10 kop. —
Półrocznie	„ 5 „ —
Kwartalnie	„ 2 „ 50

w Cesarstwie i na prowincyi:	
Rocznie	Rs. 12
Półrocznie	„ 6
Kwartalnie	„ 3

Cena numeru pojedynczego
kop. 20.



Chamant i Rosebery

zwycięcy w wyścigach The middle park plate i w Caesarewitch stakes w r. 1876.